

# **Szept do Ireny**

Magdalena Kołodziej

Ludzie od zarania dziejów w różnych rzeczach pokładali nadzieje. Jedni patrzyli w gwiazdy, szukając szczęścia. Inni zwracali się do Boga, jeszcze inni do jego orędowników. Nikt jednak nigdy nie odnalazł jednej i uniwersalnej odpowiedzi na pytania, które zajmowały umysły filozofów.

Czy można być szczęśliwym zawsze? Jak to zrobić? Jak nie odczuwać bólu? Czy istnieje klucz do wiecznej radości?

Siedmioletnia Irena nigdy nie była szczęśliwa wśród ludzi. Rodzice jej nie kochali, rówieśnicy patrzyli na nią z obrzydzeniem. Odkąd straciła rękę, nic nie było takie samo. Musiała nauczyć się z tym żyć. Nie mogła liczyć na niczyje wsparcie. Rodzeństwo dawno dorosło albo wyprowadziło się do krewnych, rodzice traktowali ją jak zło konieczne, a do Boga bała się zwrócić. Nie potrafiła zrozumieć Jego postępowania. Nie wiedziała, co Nim kierowało, kiedy zsyłał potopy i plagi, kiedy kazał zabijać. Próbowwała pytać o to rodziców, ale zawsze trafiała na mur, którego nie potrafiła zburzyć. Słyszała na religii w szkole, że Bóg jest miłosierny i powoli zaczynała w to wierzyć, ale blokady przed szczerą modlitwą i prośbą o ocalenie nie potrafiła przełamać.

Wyglądziła beżową sukienkę do kolan i nieporadnie zawiązała kokardę przy jednym z jasnych warkoczy. Niestety plecaczek, który niosła na ramieniu, zsunął się i spadł na trawę, mokrą od niedawnego deszczu. Jego przyjemny zapach wciąż unosił się w powietrzu. Z torby wypadło zawiniątko z gazet. Dziewczynka z westchnieniem przyklękła i pozbierała resztki nieprzyprawionego mięsa z rosółu, które zapakowała w tajemnicy przed mamą. Wszystko ponownie otuliła gazetami i upchnęła na dnie plecaka. Ulubione miejsce Ireny znajdowało się wysoko, ale droga nie była na tyle stroma, by nie mogła sobie poradzić.

Szum liści przeplatał się z cichym szeptem wody, niesłyszalnym, jeśli nie wiedziało się, że on powinien tam być. Wąska wydeptana dróżka w kolorze ubrania dziewczynki przecinała zielony krajobraz Góry.

Góra, która właściwie była wysokim pagórkiem, zawsze zachwycała siedmiolatkę. Przyroda była lepsza od ludzi. Nie krzywdziła tylko po to, żeby krzywdzić. Wszystko perfekcyjnie zaplanowano, każda istota miała tu swoje miejsce. Silne, zdrowe liście rodziły się wiosną, dojrzewały latem, a jesienią opadały, tworząc piękny, kolorowy dywan, który później przykrywał biały puch. To wszystko obezwładniało ją swoim pięknem. Fakt, że przy tym cały czas patrzyła w górę sprawiał, że dostrzegała coraz więcej. Czasem z wiatrem między jej wargi zaplątał się gorzki pyłek, a czasem słyszała wiewiórki, zakopujące bez pamięci smakowite żołędzie.

Nagle zobaczyła małe drzewko, wyrosłe na środku drogi. Irena zdała sobie sprawę, że dawno musiało jej tu nie być, skoro przeoczyła narodziny nowego przyjaciela.

– Chodź tutaj – szepnęła zupełnie tak, jakby roślina mogła ją zrozumieć. – Zadbam o to, żeby nikt nie zrobił ci krzywdy.

Odłożyła plecak ostrożnie i rozejrzała się po runie leśnym po obu stronach ścieżki. W końcu znalazła odpowiednie miejsce kilka metrów za sobą po lewej. Powalony pień drzewa zapewniał schronienie zwierzętom, a teraz mógł zapewnić je tej sadzonce. Spulchnioną glebę łatwiej było rozgrzebać jedną ręką i zrobić w niej dołek odpowiednio duży, by zmieściły się wszystkie delikatnie korzonki malutkiego dębu. Ziemia wciskała się pod paznokcie i otulała rękę Ireny chłodem. Była szorstka i była miękka, była zimna i chroniła rośliny przed chłodem. Była harmonią. Gdy dziewczynka odsłoniła wszystkie korzenie, ostrożnie przeniosła młode drzewko do dołka i zasypała. Uważając, by go nie skrzywdzić udeptała otoczenie i połała

odrobiną wody zabranej z domu. Cofnęła się, gdy poczuła zimno w butach i usłyszała chlupotanie.

– Teraz już nic ci nie grozi. – Uśmiechnęła się szeroko mimo chłodu wody i przemoczonego obuwia. – Mam tylko jedną prośbę. Spraw kiedyś innym dzieciom radość, dobrze? Niech bawią się tutaj, pozwól im odpoczywać i być sobą. Rośnij duży. Wiem, że potrafisz – dodała z mocą niepodobną siedmioletniej dziewczynce.

Dąb nie odpowiedział, ale Irena z radością przyjęła cichy szum giętkich gałązek.

– Niedługo cię odwiedzę, ale teraz wzywa mnie Franciszek. – Pomachała roślince na pożegnanie, idąc dalej, aż na szczyt wzniesienia. – Na pewno się za mną stęsknił.

\*

Franciszek okazał się puchatym, chudym kociakiem o białym futerku i niebieskich oczach, ale za to bez tylnej łapki. Futrzak przeciągnął się i mruknął na powitanie, wstając z wygodnego posłania na zeschniętych liściach w cieniu drzew. Nie podchodził jeszcze do Ireny, jakby zdawał sobie sprawę, że może ją rozproszyć i spowodować wypadek. Dopiero kiedy dziewczynka usiadła i położyła otwarty plecak na kolanach, kotek miauknął głośno i podszedł koślawym krokiem do ludzkiej przyjaciółki. Otarł się łebkiem o jej kolano i zamruczał, przewracając się na grzbiet.

– Szkoda, że nie mogę cię przygarnąć. – Siedmiolatka przesunęła jedyną dłonią po miękkiej sierści i z zadowoleniem przyjęła widok zamykających się powiek zwierzęcia.

To miejsce od zawsze było dla niej małym, prywatnym rajem. Szept małej rzeczki, właściwie strumyka koił wszystkie jej niepewności i wzburzone emocje. Pozwolił odkrywać i poznawać samą siebie. Pozwalał pochylić się, spojrzeć w taflę wody jak w lustro i powiedzieć „kocham”.

Kochała to wszystko – kwiaty, drzewa, szum drzew, szepty wody i wiatru. Kochała ptaki, zwierzęta dzikie i te porzucone. W momentach takich jak ten miała wrażenie, że dosięgła czegoś, co na zawsze pozostanie ukryte przed wzrokiem jej rodziców czy rówieśników. Właśnie w takich momentach czuła przepełniające ją szczęście. Widziała świat, obdarowywała go troską i miłością, a on zapewniał jej spokój i poczucie bycia na właściwym miejscu. Zastanawiała się, jak Bóg, który stworzył coś tak wspaniałego, mógłby być zły. Dziś w końcu zrozumiała – Bóg nie był zły, a po prostu surowy.

Irena powoli wyciągnęła z plecaka mięso owinięte w gazety.

– Przyniosłam je dla ciebie – powiedziała z uśmiechem, podsuwając kotu pod nos kawałek kurczaka. – Smacznego.

Kotek z przyjemnością zaczął szarpać kawałki mięsa. Był zachłanny, tak samo jak zachłanna była Irena. Nigdy nie uznała, że wie już dość o świecie, w którym żyje. Chciała poznawać go coraz bardziej, coraz głębiej i zostawiać za sobą przetarty szlak, by kiedyś przeprowadzić tą samą drogą ludzkich przyjaciół lub swoje dzieci.

Często rozmawiała z Franciszkiem. Już na samym początku zauważyła, że są tacy sami – oboje odrzuceni przez ludzi i oboje potrzebujący przyjaciela. Ona kochała Franciszka, a on przychodził do niej i długimi godzinami potrafił siedzieć i mrużyć na jej kolanach. Czasem robił to na tyle głośno, że zagłuszał słowa dziewczynki. Wtedy przestawała mówić i po prostu zatapiała rękę w aksamitnym futerku przyjaciela.

Irena rozejrzała się. Górski krajobraz był czymś, czego nie dało się podrobić, a rzeńskie powietrze uprzyjemniało letni czas. Kiedy Franciszek się najadł i zwinął w zadowoloną białą kulkę, dziewczynka poszła umyć rękę w strumyku. Patrzyła na swoją twarz w zakrzywionej, wzburzonej tafli wody i wiedziała, że jest częścią tego wielkiego, pięknego świata. Jest częścią soczyście zielonych wzgórz, jest częścią surowych turni, jest częścią liści, które potrafiły mienić się wszystkimi kolorami. Jest częścią tęczy, która pojawia się w deszczu. Jest częścią świata, który kocha, który ją zachwyca.

Strumień szeptał, mienił się wszystkimi kolorami, pachniał rzeńsko, a smakował pewnie lepiej niż każda możliwa woda z butelki. Był lustrem, był księżą, był drogą.

– Co mi mówisz, strumyku? – zapytała, patrząc na gładką, choć wartko płynącą wodę. Franciszek wstał, pokręcił łebkiem, dokuśtykał do Ireny, ułożył się wygodnie na jej splecionych nogach i zasnął. Pogłaskała go, po raz kolejny odnajdując swoje szczęście w małych rzeczach.

Gdyby strumień potrafił mówić, odpowiedziałby jej „nigdy się nie zmieniaj”.